

10'0



Mitość  
ma Twoje  
imię



KAROLINA ZIELIŃSKA

80'

OST



Mitość  
ma Twoje  
imię

Mitość  
ma Twoje  
imię

KAROLINA ZIELIŃSKA

Warszawa 2022

Wydanie I

dla•czemu

WYDAWNICTWO DLACZEMU

dla•czemu  
www.dlaczemu.pl

Dyrektor wydawniczy: Anna Nowicka-Bala  
Opieka wydawnicza: Marta Burzyńska  
Redakcja: Renata Kumala (Korektornia on-line), Edyta Gadaj  
Korekta językowa: Magdalena Białek  
Projekt okładki: Agnieszka Zawadka  
Skład i łamanie: Wielogłoska Katarzyna Mróz-Jaskuła

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE  
WARSZAWA 2022

Wydanie I

ISBN: 978-83-67357-64-7

Zapraszamy księgarnie i biblioteki do składania zamówień hurtowych z atrakcyjnymi rabatami. Dodatkowe informacje dostępne pod adresem: kontakt@dlaczemu.pl

## ROZDZIAŁ 1



Z trudem powstrzymywałam się przed wściekłym bębnięciem palcami o blat jasnobrązowej lady, zza której wystawała burza rudych włosów.

Byłam zdenerwowana. Bolał mnie żołądek i gdzieś z tyłu głowy błąkała się smętna myśl, że nie zapłaciłam za taksówkę. Szlag!

To prawda, co mówią. Jak się człowiek śpieszy, to się diabeł cieszy.

A dziś miał prawdziwą fiestę.

– Nie widzę w systemie nikogo o podanym nazwisku.

– Proszę sprawdzić jeszcze raz – syknęłam, mierząc dziewczynę groźnym spojrzeniem. – Dokładnie.

– Sprawdziłam dokładnie. Pięć razy. Nie ma.

– To sprawdź szósty! – wrzasnęłam na całe gardło, przyciągając uwagę osób stojących za mną w kolejce. – Proszę, to dla mnie bardzo ważne.

Ruda westchnęła głośno, upiła łyk zimnej herbaty i zaczęła na nowo stukać w klawiaturę.

Poczułam nasilający się ból głowy, więc zaczęłam masować skronie. W tej samej chwili w kieszeni mojego płaszcza rozległy się wibracje.

– Halo? Mama? – powiedziałam i przygryzłam wargę.

– Cześć, kochanie. Gdzie jesteś?

Uśmiechnęłam się słabo na dźwięk nieco zatroskanego, choć wciąż tak samo ciepłego głosu.

– W szpitalu.

– W szpitalu?

– Tak, na Orłowskiej. Ten adres przekazałaś mi w wiadomości, prawda?

– Tak, zgadza się, ale... O Boże, jesteś w szpitalu?

– Tak. Powiedziałam to przed chwilą. Jestem przerażona polską służbą zdrowia. Od dwudziestu minut sprzeczmam się z rejestratorką. Uważa, że taty nie ma na oddziale kardiologicznym.

– Elizko, ta pani ma rację. – Mama wzięła głęboki wdech. – Muszę ci coś powiedzieć.

– Co? – Wystraszyłam się. – Coś z tatą? Przenieśli go?

– Nie.

– Czy on...? – Łzy napłynęły mi do oczu. – Spóźniłam się?

– Nie, Elizko. Z tatą wszystko w porządku.

– Jak to? – Zmarszczyłam brwi i spojrzałam na wściekłą rejestratorkę. – Nie rozumiem.

– Czekamy na ciebie w domu – odparła, a po chwili połączenie zostało przerwane.

Byłam zdumiona. Zamrugałam powiekami, próbując wyjść z otępienia.

Czułam się dziwnie. Z jednej strony cieszyłam się, że tata jest zdrowy, że nie leży w szpitalu podłączony do tych wszystkich aparatów, że jego serce jest wciąż stabilne, ale z drugiej... nie mogłam uwierzyć, że mama tak perfidnie mnie okłamała. Naraziła mnie na stres, na tysiące komplikacji związanych z wylotem z Francji, na ból brzucha i migrenę. To nie było do niej podobne.

– Nie ma. – Ruda zmarszczyła nos.

– Nie ma – powtórzyłam jak automat i ruszyłam w stronę rozsuwanych drzwi.

Poczułam nieznośny chłód, więc otuliłam się mocniej płaszczem. Ruszając w stronę domu, wyjęłam z torebki paczkę papierosów. Nie paliłam często. Zaledwie okazjonalnie. Ale dziś była ku temu idealna okazja. Przypominałam pękniętą oponę, przebitą dętkę, a nawet wyżutą gumę, którą ktoś niechlujnie splunął na chodnik.

Byłam wyczerpana.

Zaciągałam się papierosem, omijając wielkie brudne kałuże.

Dawno nie było mnie w Warszawie, choć właściwie powinnam powiedzieć: w Polsce. Prawie całe dwa lata. Szczerze mówiąc, sama nie wiedziałam dlaczego. Wcześniej udawało mi się przylecieć na święta, spędzić z rodziną tydzień, a później wsiąść w samolot i wrócić do Paryża. Do swojego domu. Do Jules'a.

Uśmiech wpłynął na moją twarz, kiedy pomyślałam o gładko ogolonej, przystojnej twarzy Francuza. Jules był... No właśnie, nie wiedziałam do końca kim. Nasza relacja była dość niecodzienna.

Byłam ciekawa, co teraz robi. Zwykle o tak wczesnej porze leżeliśmy jeszcze w łóżku. Rozmarzyłam się na wspomnienie delikatnej, satynowej pościeli.

Zmierzałam w stronę Śródmieścia. Moi rodzice mieszkali w kamienicy na ulicy Jaworzyńskiej, która przebiegała w dwóch odcinkach od Polnej i Mokotowskiej. Budynek mieszkalny z pięcioma piętrami wzbudzał we mnie dziwną nostalgię. Skrzywiłam się na widok licznych zacieków. Nie lubiłam, kiedy marnowało się coś, co miało potencjał. Co było potrzebne.

Stałam przed drzwiami i nabrałam powietrza w płuca. Wciąż byłam spięta i zdenerwowana. Nadusiłam przycisk domofonu.

- Kto tam?
- To ja, mammo.
- Już otwieram!

Weszłam na klatkę schodową utrzymaną w śmiesznie smutnej kolorystyce. Rodzice mieszkali na piętrze. Nim zdążyłam zadzwonić dzwonkiem, drzwi otworzyły się na oścież.

- Witaj w domu, córuniu!

Wpadłam w ramiona mamy i pocałowałam ją w policzek. Pachniała kawą i ciastem. Moje serce skurczyło się boleśnie. Roztopiłam się jak wosk. Dopóki nie znalazłam się w jej objęciach, nie wiedziałam, że tak bardzo tęskniłam.

- Tak się cieszę, że jesteś.

- Powiedziałaś mi, że tata jest ciężko chory i leży w szpitalu. - Nie mogłam zapomnieć o tym, co zrobiła. Oczekiwałam wyjaśnień. Ciemne oczy spojrzały na mnie z poczuciem winy.

- Kłamała! - Ciotka Jola wyrosła tuż przed moją twarzą. Była siostrą mamy, choć próżno było szukać między nimi podobieństwa. Dwa żywioły. Ogień i woda.

- Kłamałaś? - spytałam z niedowierzaniem. - Dlaczego to zrobiłaś?

- Elizko, ja wszystko ci wyjaśnię, ale najpierw, proszę, wejdź do środka. Napijesz się kawy? Zjesz ciasto? Zrobiłam z makiem, twoje ulubione.

- To był jedyny sposób, żebyś zostawiła tę zasraną Francję i wróciła do nas - mruknęła ciotka, uśmiechając się blade.

- To jakiś żart? - wydukałam. Byłam przerażona.

- Nie, to nie żart. - Mama spuściła głowę. - Kochanie, proszę, nie złość się.

- Gdzie jest tata? - spytałam zdenerwowana.

- W piwnicy. - Ciotka podeszła do mnie bliżej. - Robi miejsce na swoje nowe nalewki. Śliwka i cytryna. Elizko,



mówię ci, to niebo w gębie. – Cmoknęła z uznaniem i objęła mnie swoimi chudymi, sztywnymi ramionami.

– Nie wierzę – wymamrotałam, wyplątując się z jej uścisku. – Czy przez chwilę pomyśleliście o mnie? Jak ja to przyjmę? Jak sobie z tym poradzę? Okłamaliście mnie, i to w najgorszy sposób! – Byłam rozzalona i uważałam, że mam cholerne prawo się tak czuć.

– Nie mieliśmy wyjścia. – Ciotka sapnęła pod nosem. – Dobrze wiesz, że próbowaliśmy cię nakłonić do powrotu po dobroci. Jesteś niezależna, silna... i musieliśmy podjąć odpowiednie kroki.

– Mówiąć mi, że mój tata umiera w szpitalu?! – ryknęłam. – Tak nie można!

– Nie mówiłam, że jest umierający – wtrąciła nieśmiało mama.

– Wszystko jedno! To było podłe!

– Wiem, kochanie.

Zacisnęłam zęby. Byłam wściekła i z chęcią zapaliłabym kolejnego papierosa, gdyby nie to, że oficjalnie nigdy nie przyznałam się do nałogu.

Westchnęłam cicho, zauważywszy, jak ciemne oczy mamy robią się podejrzanie mokre.

– Przepraszam, Elizko. Wiem, jak mogłaś się poczuć. I zgadzam się, zachowaliśmy się wszyscy bardzo źle wobec ciebie, ale tak bardzo tęskniliśmy! Kochamy cię i chcemy, żebyś była z nami. Tutaj, w Warszawie.

– Wiem, że chcecie – mruknęłam oschle. – Trochę to egoistyczne z waszej strony, nie sądzisz?

– Egoistyczne? – Ciotka prychnęła niezadowolona. – Jedyną egoistką jesteś ty. Zostawiłaś nas jak jakieś psy w schronisku.

– Nie zostawiłam was. – Ściągnęłam brwi. – Przylatywałam.

– Ostatni raz dwa lata temu. – Mama była smutna. Wyglądała na zranioną. Nie mogłam znieść wyrazu jej twarzy.

– No tak – zgodziłam się. – Przepraszam, powinnam była częściej przylatywać.

– Powinnas się tutaj przeprowadzić! – Ciotka chwyciła mnie za rękę.

– Nie, nie. – Pokręciłam głową. – To absurdalny pomysł. Mam mieszkanie w Paryżu, pracę, przyjaciół.

– A rodzinę też tam masz?

Drgnęłam, kiedy tata przecisnął się obok mnie w korytarzu. Był potężnym facetem, który z wyglądu wzbudzał lęk, lecz to były tylko pozory. W rzeczywistości był wspaniałym, uprzejmym człowiekiem z ogromną słabością do swoich nalewek.

– Cześć, tato – wyduśiłam z siebie. – Nie masz pojęcia, jaka to ulga widzieć cię w dresach i z wiklinowym koszyczkiem, zamiast w piżamie w otoczeniu kroplówek.

– To był pomysł Jolki – rzucił. – Mieliśmy z mamą mieszane uczucia, ale w końcu daliśmy się namówić. Eliza, my nie robimy się młodszy.

– Nie przesadzaj.

– Jesteś za granicą i nawet nie wiesz, co się dzieje w domu.

Zacisnęłam powieki. Byłam rozdrażniona i poirytowana, lecz gdzieś w głębi dopuszczałam do siebie myśl, że rodzina miała rację. Powinnam była się bardziej nimi opiekować.

Wzięłam głęboki wdech, rozluźniłam zacisnięte dłonie i spoglądając na rodziców, oznajmiłam:

– Dobra.

– Dobra? – Ciotka powtórzyła, unosząc brew. – Co dobra?

– Przyznaję, zawaliłam ostatnie dwa lata. Dużo się działo. – Usiadłam na kanapie w salonie i wbiłam wzrok w telewizor. Właśnie rozpoczął się blok reklamowy. – Jesteśmy kwita.

– Kwita? – Ciotka znów powtórzyła jak echo.

– Ja zrobiłam świństwo wam, a wy mnie. Bo umówmy się: to było świństwo. Myślałam o samych najgorszych rzeczach, byłam bliska rozpaczy.

– Przepraszam. – Mama usiadła obok mnie. – Nie wiedziałam, że kiedy powiem, że tata znalazł się w szpitalu, od razu pomyślisz o tak tragicznych sprawach.

– Szpital nie jest tylko dla umierających – rzuciła ciotka, rozsiadając się w fotelu. – Poniekąd to również twoja wina, sama się nakręciłaś.

– Każdy by się tak nakręcił – sapnęłam.

– Było, minęło. – Tata ściągnął brwi. – Nie wałkujmy tego tematu. Wszystko się wyjaśniło. Jestem zdrowy, ty jesteś w kraju i może z tej okazji wypijemy po kieliszku wiśnioweczki? Ma niecały tydzień, ale myślę, że warto spróbować.

Mimo że byłam zła, na mojej twarzy pojawił się delikatny uśmiech.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł. Może Elizka jest głodna? Jechałaś do szpitala prosto z lotniska?

– Tak. Bardzo się śpieszyłam i... – Nagle urwałam, ponieważ uświadomiłam sobie, że moje bagaże zostały w tak-sówce. – Kurwa mać.

– Co się stało? – zapytała mama, wyraźnie zmartwiona.

Wypuściłam z głębi siebie pełne irytacji westchnienie.

– Jestem idiotką.

– Nie bądź dla siebie taka surowa. Każdy popełnia błędy. Co prawda, większość ludzi wyciąga z nich jakieś wnioski, ale mam nadzieję, że teraz wiesz, jak ważne jest, żebyś wróciła do Polski. – Ciotka zarechotała.

Nie byłam w stanie ocenić, czy mówiła serio, czy żartowała. Wstałam z miejsca i nerwowo zaczęłam krążyć po pomieszczeniu.

– Miałam na myśli bagaże. Kompletnie o nich zapomniałam.

– O, to niedobrze. – Ciotka wyjęła z kieszeni opakowanie landrynek. – Cukiereczka na poprawę humoru?

– Jezu, w tych walizkach miałam naprawdę drogie rzeczy!

– Laptop? Telefon chyba nosisz przy sobie, prawda? – Mama przyglądała mi się z niepokojem.

– Najnowszą kolekcję Versace! – pisnęłam przerażona.

– Versace? A co to takiego? – Tata podszedł do mnie i położył swoją dłoń na moim ramieniu. – Spokojnie.

– Spokojnie? Jedna para spodni kosztowała tysiąc euro!

– O mój Boże! – Ciotka omal nie zakrzuszyła się landrynką. – Tysiąc euro? Spodnie?

– Jules mi kupił. – Westchnęłam. – Nieważne. Miałam tam jeszcze sporo innych bardzo drogich ubrań. Muszę je odzyskać!

– Jules? – podchwyciła mama i zerknęła na mnie badawczo. – Kim jest Jules?

– Kolegą – wypaliłam szybko.

– I kolega kupuje ci spodnie za tysiąc euro? – Ciotka zagwizdała pod nosem. – Ma jakiegoś starszego brata? Najlepiej, żeby był po czterdziestce.

– Jolka! – Mama pokręciła głową z oburzeniem. – Co ty wygadujesz?

– Tysiąc euro, Kalina! – Ciotka w pośpiechu wsunęła drugą landrynkę do ust.

– Skąd ten Julek ma tyle pieniędzy? – Tata łypnął na mnie podejrzliwie okiem.

– Jules – poprawiłam odruchowo. – Ma bogatych rodziców.

– A on czym się zajmuje?

– Jest modelem.

– Modelem? – W oczach taty zobaczyłam rozbawienie. – A co to za zawód? Żaden.

– Och, daj spokój. Czasy się zmieniły – rzuciłam poirytowana.

– Nie aż tak, Eliza – zagrzmiał ponuro.

Nie zamierzałam przekonywać go do swojej racji, nie miałam na to czasu. Musiałam pilnie wymyślić, jak odzyskać swoje bagaże. Wyjęłam telefon i zaczęłam przeglądać listę kontaktów.

– Masz zdjęcie tego Julka? – spytała ciotka, uśmiechając się szeroko. – Pewnie to jakiś przystojniak, co?

– Nie prowokuj jej. Najlepiej obie zapomnijcie o tym klauzie reklamującym gacie i podkoszulki.

– Jules nie reklamuje gaci – mruknęłam niezadowolona. – Mam!

– Znalazłaś jego zdjęcie? – Ciotka poprawiła się w fotelu.

– Nie, szukałam numeru do agencji taksówek.

– A skoro jesteśmy przy temacie agencji... Wczoraj widziałam okropną reklamę z rozneglizowanymi kobietami. Wyglądały, jakby reklamowały przybytek rozkoszy. Chciałam to zgłosić, ale nie byłam pewna, jak to zrobić.

– Boże, Jolka, jakie ty programy oglądasz? – Tata zaczął chichotać.

– Idź po tę wiśniówkę, Ferdek. – Mama nieco się zmieszła. – I przestańcie myśleć o głupotach.

Ciotka roześmiała się głośno, tata poszedł do kuchni po butelkę nalewki, a ja wybrałam numer i nawiązałam połączenie. To było dość żenujące. Musiałam tłumaczyć zaistniałą sytuację kilka razy z rzędu i przywoływać w pamięci takie szczegóły jak kolor taksówki i marka samochodu. Po dwudziestu minutach rozmowy byłam wyczerpana, ale moje wysiłki się opłaciły. Zapewniono mnie, że bagaż trafi do mnie jutro z samego rana, co trochę mnie uspokoiło. Podziękowałam, najmilej jak umiałam, i usatysfakcjonowana wsunęłam telefon do tylnej kieszeni swoich jasnoniebieskich džinsów.

Byłam zadowolona.

Kolejny raz udowodniłam, że sukces to moje drugie imię.

\*\*\*

Spuściłem głowę. Staralem się zachować spokój, mimo że wszystko we mnie zaczynało niebezpiecznie bulgotać. Byłem bliski wrzenia.

Czułem się jak wulkan sekundę przed erupcją.

– To nic osobistego – usłyszałem jej głos.

Uśmiechnąłem się pod nosem. Nie byłem zdziwiony, że padły te słowa. Właściwie czekałem na moment, kiedy Marta użyje tej formułki.

– Jasne – mruknąłem oschle.

– Pójdę już. – Wstała z krzesła obitego białą skórą. Kiedy spojrzałem na nią, dodała: – Do zobaczenia.

– Do widzenia – odpowiedziałem, odprowadzając ją wzrokiem. Gdy wyszła z mojego gabinetu, wydałem z siebie głębokie, pełne irytacji westchnienie. Nie zdążyłem sięgnąć po ołówek, kiedy do środka wpadł Daniel.

– Nie wierzę, że to zrobiła – powiedział, opierając dłonie o blat mojego biurka. – To już trzecia osoba w ciągu dwóch miesięcy.

– Gdybym spotkał tego szczura, ukręciłbym mu kark gołymi rękami – wycodziłem przez zaciśnięte zęby. – Podstępna żmija.

– Co proponujesz? – Daniel spojrzał na mnie z wyczekiwaniem.

Prychnąłem pod nosem.

– Na początek? Zatrudnić trzy nowe osoby, które uzupełnią braki kadrowe. Zrobisz ogłoszenie?

– Zrobię. – Nerwowo przecesał palcami swoje czarne włosy. – Nie mieści mi się w głowie, że tak perfidnie kradnie nam ludzi. Rozumiem, że jest na rynku dużo firm

architektonicznych, wiem, że mamy sporą konkurencję, ale to, co robi Jeremiasz, jest po prostu... – urwał, najwidoczniej zabrakło mu słów.

– Świńskie – dokończyłem ponuro.

– Gorzej! – Daniel zmarszczył brwi. – To... to... Tak po prostu się nie robi! – Krążył po moim gabinecie wściekły jak osa. – Ciebie to nie rusza?

– Rusza. – Bardzo ruszało, ale wiedziałem, że powinienem trzymać emocje pod kluczem. Zerknąłem na ołówki, obiecując sobie w duchu, że kiedy Daniel wyjdzie, połamię je wszystkie. Oparłem głowę o zagłówek i zmrużyłem oczy. Byłem spięty. Denerwowało mnie to, że nic nie mogę poradzić na powtarzające się sytuacje, które rozgrywały się tuż pod moim nosem. Zupełnie jakbym został biernym obserwatorem swojego własnego upadku. Bez architekta wewnątrz, bez projektanta i kosztorysanta nie mieliśmy przyszłości. Potrzebowałem ludzi. Trzech. Na już.

Miałem nadzieję, że Daniel wystawi porządne ogłoszenie i nadrobimy braki w ciągu kilku tygodni. Na więcej nie moglibyśmy sobie pozwolić. Branża architektoniczna była zapchana po sam kołnierz. Panował stres, który jeszcze zwiększała konkurencja na rynku. I choć nigdy nie lubiłem wyścigów szczurów, od pięciu miesięcy brałem udział w jednym z nich.

Głośny dźwięk przychodzącej wiadomości rozproszył moje nieprzyjemne myśli.

Martyna, 13:45

*Cześć. Pamiętasz o Lilianie?*

– Do stu diabłów – syknąłem, wstając, a właściwie ruszając z impetem z fotela.

Nie miałem dużo czasu. W pośpiechu włożyłem płaszcz i wybiegłem z gabinetu.

– Piotr, potrzebuję twojej opinii. – Jagoda niespodziewanie stanęła mi na drodze. – Nie wiem, co zrobić z elewacją...

– Nie teraz – przerwałem jej, marszcząc brwi.

– To ważne.

– Daniel się tym zajmie. – Zacząłem gorączkowo rozglądać się w poszukiwaniu kumpla. – Muszę wyjść.

– Coś się stało?

– Nie.

– Jesteś nerwowy.

– Tak, od kilku miesięcy. Nic nowego. – Parsknąłem nieprzyjemnie.

– Och, wiesz, o czym mówię. Coś nie tak z Kacprem? – zaniepokoiła się.

– Muszę odebrać Lili. Jest w przedszkolu.

– Myślałam, że odbierasz ją po siedemnastej. – Jagoda zerknęła na zegarek. – A mamy ledwie czternastą.

– Dziś jest inaczej. Ma umówioną wizytę u lekarza na szczepienie. Martyna nie może się wyrwać z pracy wcześniej, więc... sama rozumiesz.

– Rozumiem. – Uśmiechnęła się. – Jedź.

Kiwnąłem głową i nie zwlekając dłużej, wyszedłem z budynku. Biegłem w kierunku samochodu, jednocześnie odpisując Martynie, że jestem już w drodze do przedszkola i wszystko jest w jak najlepszym porządku. Wsunąłem się za kierownicę mazdy i nacisnąłem przycisk startowy, by uruchomić silnik. Zapiąłem pas bezpieczeństwa i wyjechałem w pośpiechu z parkingu. Warszawa to piękne miasto. Lubilem ten klimat, historię i tempo, lecz były też momenty, gdy zalewała mnie krew, gdy stałem, jak dziś, na zakorkowanej ulicy, nie mogąc wykonać żadnego sensownego manewru, i byłem skazanym na łaskę bądź niełaskę innego kierowcy.



– Zlituj się, panie. – Westchnąłem żałośnie, włączając lewy kierunkowskaz. – Po dziecko jadę, do cholery.

Po piętnastu minutach w końcu mogłem ruszyć do przodu. Prułem przez aleję Wilanowską, a później skręciłem w ulicę Batuty. Tam kolejny raz rozłożyłem bezradnie ręce, gdy znów musiałem odczekać kilka minut, stojąc na czerwonym świetle.

Spóźniony, zaparkowałem przed Publicznym Przedszkolem Małego Kopernika i energicznym krokiem skierowałem się w stronę drzwi ozdobionych śmiesznymi laurkami i innymi dziecięcymi pracami z kolorowego papieru.

– Jesteś w końcu – usłyszałem niezadowolony głosik. – Kup sobie zegarek.

– Mam zegarek. – Uśmiechnąłem się słabo i pochyliłem lekko, żeby poczochrąć jej jasnobrązowe włoski. – Były korki na drodze. Jak minął dzień?

– Kuba mnie oblał sokiem.

– A to drań. – Kucnąłem przed nią. – Chcesz, żebym z nim pogadał?

Lili uśmiechnęła się rozbawiona moimi słowami. Potrząsnęła głową, czerwieniąc się po same uszy.

– Bawiłam się z Alą – zaczęła, zerkając na mnie nieśmiało. – I powiedziała mi, że Basia zakochała się w Alanie. To wielki sekret, nikt nie może się dowiedzieć.

– Która to Basia? – spytałem, rozglądając się wokół. W szatni prócz nas była jeszcze piątka dzieciaków wraz z rodzicami.

– Ta z warkoczem – pisnęła konspiracyjnie. – Mama kupiła jej kota.

– Nie lubię kotów. – Skrzywiłem się.

– Dlaczego?

– Są fałszywe.

– Są milutkie – powiedziała, na co westchnąłem głośno. – I tak słodko mruczą! Myślisz, że jak będę grzeczna, to mama kupi mi kotka?

– Raczej marne szanse.

– Nawet jak będę bardzo, bardzo, bardzo grzeczna? – Zatrzepotała rzęsami. – Turbomegagrzeczna?

Roześmiałem się pod nosem i już miałem coś odpowiedzieć, kiedy zawyła moja komórka. Lili zmarszczyła nos i ściągnęła swoje jasne brwi, demonstrując całemu światu, jaka jest niezadowolona z powodu nieoczekiwanego przerwania tej ważnej rozmowy.

– Daniel, co jest? – Odebrałem, opierając się o błękitną ścianę.

– Jestem w trakcie tworzenia ogłoszenia. Czy powinienem uwzględnić wynagrodzenie? A jeśli tak, to ile? Chcesz ryzykować normalną stawką dla osoby, która być może nawet się nie nada?

– Nie podawaj.

– Tak myślałem. Zresztą cokolwiek podamy, to Jeremiasz i tak nas przebiję.

– Skup się na tym, czego oczekujemy, czyli sumienności, mniej więcej dwuletniego doświadczenia, wykształcenia wyższego, znajomości języków obcych i... co tam jeszcze? A, znajomość prawa budowlanego i administracyjnego w zakresie procesu inwestycyjnego.

– A znajomość naszego programu operacyjnego?

– Mile widziana, ale jeśli nie kojarzy, to wszystkiego nauczymy. – Łypnąłem wzrokiem na Lili. Wyglądała na znużoną. – Coś jeszcze? Bo trochę się śpieszę.

– Doskonała organizacja pracy.

– Może być.

– Światłości.

– I boskiego natchnienia – rzuciłem ironicznie. – Nie przesadzaj. Wystarczy.

– Właśnie! Wystarczy! – Lili chwyciła mnie za dłoń. – Idziemy już?

– Tak, idziemy – mruknąłem, wolną ręką pomagając jej włożyć kurtkę.

– Idziemy? – Daniel był zdziwiony. – Dokąd?

– Nie my – westchnąłem, przytrzymując telefon ramieniem.

– Nie my? – Lili powtórzyła z dezaprobatą.

– Daniel, kończę. Za godzinę będę w biurze, to pogadamy.

– W porządku – odparł, a później, ku mojej radości, postanowił się rozłączyć.

Wyszliśmy z przedszkola. Liliana szła obok mnie, nie odzywając się ani słowem, co było do niej niepodobne, więc domyśliłem się, że jest zła o to, że rozmawiałem z Danielem.

– Daj spokój – rzuciłem ugodowo.

– Nie lubię, kiedy pracujesz. Wtedy robisz się taki dziwny.

– Dziwny? – Uniosłem brew ku górze, otwierając samochód. Podniosłem ją i umieściłem w foteliku.

– Taki zły.

– Zły? Nie, skąd.

– Marszczysz czoło! – Wycelowała we mnie palec. – O, tak! – Próbowwała zademonstrować, jak wyglądam, kiedy zajmuję się sprawami służbowymi.

– Nie, no coś ty! – Machnąłem dłonią.

– I wyglądasz jak stary zółw.

– O Boże... – Stłumiłem rozbawienie i wsunąłem się za kierownicę.

– Dokąd jedziemy?

– Do domu.

– Dlaczego?

– Bo takie dostałem polecenie. – Uśmiechnąłem się. – Nie martw się, nie zostaniesz sama.

– A z kim? Z kotkiem?

– Z mamą.

– Ach – westchnęła głośno. Chyba nie była zadowolona. – Wolałabym z kotkiem.

– Ja też bym wolał wiele rzeczy, Lili.

– Tak? – zainteresowała się. – Jakich?

– Na przykład mieć komplet w kadrach i nie musieć martwić się o kolejne nadchodzące dni. – Westchnąłem przybity. – Mam nadzieję, że zatrudnimy kogoś w tym tygodniu.

– Nie rozumiem. – Lili przekrzywiła główkę. – Mówisz w jakimś innym języku.

– Dorośniesz, to zrozumiesz – stwierdziłem nieco gburowato.

Dotarliśmy na Ursynów. Nie mogłem patrzeć na szare blokowiska, które nijak nie pasowały do zielonego otoczenia. W latach siedemdziesiątych bloki z płyty były przejawem wielkiej myśli budowlanej. Nie wszystko się jednak udało. Martyna wynajmowała mieszkanie na drugim piętrze. Miała do swojej dyspozycji całe trzydzieści sześć metrów kwadratowych i balkon, który postanowiła urządzić w stylu ogrodu zimowego. Niestety, z marnym skutkiem, przez co moje poczucie estetyki dość mocno cierpiało. Wiele razy oferowałem pomoc, ale za każdym razem odmawiała, mówiąc, że i tak za dużo dla niej robię.

I trudno było się z nią nie zgodzić.

Choć nigdy nie narzekałem. Jak mógłbym?

Kochałem ją i zależało mi na tym, żeby była szczęśliwa.